

Twórca bestsellerowych thrillerów:
OFICERA I SZPIEGA, ENIGMY i AUTORA WIDMO

ROBERT
HARRIS

POMPEJE

ALBATROS

Tytuł oryginału:
POMPEII

Copyright © Robert Harris 2003
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2004

Redakcja: Beata Słama

Konsultacja historyczna: prof. Zbigniew Mikołajko

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Zdjęcia na okładce: Wirestock Creators/Shutterstock (*akwedukt*);
Relight Motion/Shutterstock (*iskry*); Evan Austen/Shutterstock (*wybuch wulkanu*);
Alesia Kozik/Pexels (*niebo*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



CONTICINIUM

(godzina 4.21)

Obserwuje się silną korelację między rozmiarami erupcji i długością poprzedzającego ją okresu spoczynku. Prawie wszystkie wielkie historyczne erupcje były erupcjami wulkanów uśpionych przez wieki.

Jacques-Marie Bardintzeff, Alexander R. McBirney
Volcanology (drugie wydanie)

Opuścili akwedukt na dwie godziny przed świtem i wspięli się w świetle księżyca na wzgórze, z których roztaczał się widok na port. Sześciu idących gęsiego mężczyzn, z inżynierem na czele. Kiedy ich budził, zwlekali się z łóżek ze zdrętwiałymi kończynami i pośpynymi, spuchniętymi twarzami. Teraz słyszał, jak narzekają za jego plecami. Ich głosy brzmiały wyraźniej, niż sądzili, w ciepłym nieruchomym powietrzu.

– To czysta głupota – mruknął któryś.
– Chłopcy powinni siedzieć w domu nad książkami – dodał inny.

Niech paplają, pomyślał, wydłużając krok.

Już teraz czuł, jak narasta poranny upał, zapowiedź kolejnego dnia bez deszczu. Był młodszy od większości swoich pracowników i niższy od nich wszystkich: krępy, muskularny mężczyzna z krótko ostrzyżonymi brązowymi włosami. Trzonki narzędzi, które niósł na ramieniu, ciężkiego topora z ostrzem z brązu oraz drewnianej

łopaty, ocierały się o jego opalony kark. Mimo to wyciągał jak mógł gołe nogi, przeskakując z kamienia na kamień, i dopiero znalazłszy się wysoko nad Misenum, w miejscu gdzie rozwidła się ścieżka, zdjął z ramienia narzędzia i poczekał, aż pozostali go dogonią.

Rękawem tuniki otarł pot, który zalewał mu oczy. Jakie rozpalone, rozmigotane niebo mają tutaj na południu! Nawet przed samym brzaskiem gwiaździsty firmament ciągnie się aż po horyzont. Dostrzegł rogi Byka, a także pas i miecz Oriona; widać też było Saturna, Niedźwiedzia oraz gwiazdozbiór o nazwie Vintager, który pojawiał się zawsze na cześć Cezara dwudziestego drugiego sierpnia, po święcie Vinaliów, na znak, że pora zacząć winobranie. Na następną noc przypadała pełnia księżycy.

Podniósł rękę ku niebu – czarne, szerokie palce rysowały się ostro na tle rozświetlonych konstelacji – rozpostarł ją, zacisnął, znowu rozpostarł i przez moment wydawało mu się, że jest tylko cieniem, nicością; materią było światło.

Od strony portu dobiegł plusk wiosł łodzi patrolowej, która lawirowała pomiędzy zakotwiczonymi triremami*. Na zatoce błyskało kilka żółtych latarni na rybackich łódkach. Zaszczekał gdzieś pies i po chwili zawtórował mu inny. A potem rozległy się głosy jego ludzi, którzy wspinali się powoli biegnącą niżej ścieżką: twardy lokalny akcent nadzorcy, Koraksa: „Patrzcie, nasz nowy akwariusz pozdrawia gwiazdy!”, i parszczący szyderczym śmiechem, zasapani niewolnicy oraz ludzie wolni, zrównani ten jeden jedyny raz we wspólnej niechęci.

Inżynier opuścił rękę

– Przy takim niebie nie potrzebujemy przynajmniej pochodni – powiedział. Nagle poczuł przyptyw energii. Pochylił się, podniósł narzędzia i zarzucił je na ramię. – Musimy ruszać dalej. – Wbił wzrok w ciemność. Jedna ze ścieżek prowadziła na zachód, wzdłuż brzegu morskiej bazy. Druga na północ, ku nadmorskiemu kurortowi Baję.

* Trirema (łac. *triremis*) – okręt wojenny, na którym wiosłarze zajmowali miejsca w trzech rzędach.

– Myślę, że skręcimy w tę stronę.

– On myśli – zakpił Koraks.

Inżynier już poprzedniego dnia uznał, że najlepiej poradzi sobie z nadzorcą, ignorując go. Odwrócił się bez słowa plecami do morza i gwiazd i zaczął wspinać się ciemnym zboczem. Na czym w końcu polega przywództwo, jeśli nie na dokonywaniu na ślepo wyborów i udawaniu, że decyzja została podjęta na podstawie racjonalnych przesłanek?

Ścieżka była tutaj bardziej stroma. Musiał iść bokiem, pomagając sobie czasami wolną ręką. Stopy ślizgały się na kamieniach, które osypywały się w mrok. Ludzie uważali, że te wypalone letnimi pożarami brązowe wzgórza są suche niczym pustynia, jednak inżynier wiedział, że jest inaczej. Mimo to czuł, jak słabnie w nim pewność siebie. Próbował przypomnieć sobie, jak wyglądała ścieżka w popołudniowym słońcu, kiedy przemierzał ją po raz pierwszy. Kręty szlak, którym z trudem można było poprowadzić muła. Połacie wypalanej trawy. A potem, w miejscu, gdzie teren stawał się równy, cętki jasnej zieleni na czarnym tle – oznaki życia, które były tylko wijącymi się po głazie pędami bluszczu.

Pokonał połowę wzniesienia, cofnął się, zatrzymał i powoli obrócił dookoła. Albo jego oczy przywykły do mroku, albo zbliża się świt. W tym drugim przypadku nie mieli już prawie czasu. Robotnicy zatrzymali się za jego plecami. Słyszał ich ciężkie oddechy. Oto kolejna opowieść, z którą wróćą do Misenum – o tym, jak nowy młody akwariusz wyciągnął ich z łóżek, kazał maszerować po wzgórzach w środku nocy, co okazało się czystą głupotą. W ustach czuł smak popiołu.

– Zgubiliśmy się, przystojniaku?

Rozpoznał szyderczy głos Koraksa i popełnił błąd, dając się sprowokować.

– Szukam kamienia – wyjaśnił.

Tym razem nie próbowali nawet stłumić śmiechu.

– Biega naokoło jak mysz w latrynie.

– Wiem, że gdzieś tu jest. Oznaczyłem go kredą.

Kolejne wybuchy śmiechu. W tym momencie odwrócił się w ich stronę. Spojrzał na barczystego, przysadzistego Koraksa, długonosego Bekko, który był sztukatorem, pucołowatego Musę, znajdującego się na kładzeniu cegieł, oraz dwóch niewolników, Politesa i Korwinusa. Nawet fakt, że trudno ich było rozpoznać w ciemności, wydawał się wymierzoną w niego kpina.

– Śmieście się. Dobrze. Ale obiecuję wam, że albo znajdziemy go przed świtem, albo wszyscy wrócimy tutaj jutro w nocy. Łącznie z tobą, Gawiuszu Koraksie. Tyle że następnym razem masz być trzeźwy.

Cisza. Koraks splunął, dał pół kroku do przodu, a inżynier zacisnął pięści. Awantura wisiała w powietrzu, odkąd przed trzema dniami przybył do Misenum. Nie było godziny, żeby Koraks nie próbował podważyć jego autorytetu w obecności innych.

Jeśli dojdzie do bójki, pomyślał inżynier, on wygra. Było ich pięciu na jednego. Zrzucą jego ciało z urwiska i powiedzą, że poślizgnął się w ciemności. Ale jak w Rzymie przyjmą fakt, że w przeciągu niecałych dwóch tygodni zaginął drugi akwariusz wodociągu Aqua Augusta?

Przez dłuższą chwilę stali naprzeciwko siebie, oddaleni tylko o krok, tak blisko, że inżynier czuł, jak starszemu mężczyźnie zalatuje z ust kwaśnym winem. A potem któryś z nich, to był Bekko, krzyknął podniecony i wskazał coś palcem. Na głazie tuż nad ramieniem Koraksa widniał gruby biały krzyż.



Inżynier nazywał się Atiliusz – pełne nazwisko brzmiało Marek Atiliusz Primus, ale zadowalało go proste Atiliusz. Będąc człowiekiem praktycznym, nie miał nigdy czasu na wymyślanie wszystkich tych przydomków, w których tak gustowali jego rodacy. („Lupus”, „Panthera”, „Pulcher”: „Wilk”, „Pantera”, „Urodziwy” – kogóż, do diaska, spodziewali się nabrać?). Poza tym jakież inne nazwisko zasłużyło się bardziej w dziejach jego profesji aniżeli rodu Atiliów, inżynierów wodnych od czterech pokoleń? Jego

pradziad został zatrudniony przez Marka Agryppę z sekcji balistów Legionu XII „Fulminata” i posłany do pracy przy Aqua Julia. Jego dziadek projektował Anio Novus, ojciec zaś dokończył budowę Aqua Claudia, doprowadzając ją siedmiomilowymi arkadami aż do Eskwilinu i kładąc niczym srebrny dywan u stóp cesarza w dniu jej poświęcenia. A teraz on, w wieku dwudziestu siedmiu lat, został wysłany na południe, do Kampanii, i obejmował nadzór nad Aqua Augusta.

Dynastia zbudowana na wodzie!

Zmrużył oczy, wpatrując się w mrok. Cóż to za wspaniałe akwedukt – jedno z największych osiągnięć inżynierii, jakie kiedykolwiek powstały. Nadzorowanie go będzie zaszczytem. Daleko, po drugiej stronie zatoki, w porośniętych sosnami wysokich Apeninach Aqua Augusta pobierała wodę ze źródła Arinusa i niosła ją na zachód krętymi podziemnymi tunelami spinającymi urwiste zbocza, wielokondygnacyjnymi mostami, potężnymi syfonami, dzięki którym pokonywała doliny, płynąc w dół, ku równinom Kampanii, dookoła Wezuwiusza, na południe do Neapolu, a potem wzdłuż półwyspu Misenum do pokrytego kurzem portowego miasta o tej samej nazwie, przemierzając łącznie około sześćdziesięciu mil, przy zachowanym przez cały czas nieznacznym spadku, który wynosił zaledwie dwa cale na siedemdziesiąt kroków. Była najdłuższym akweduktem na świecie, dłuższym nawet od wielkich akweduktów Rzymu i znacznie bardziej skomplikowanym, ponieważ jej siostry na północy zasilają tylko jedno miasto, a serpentynowy kanał Augusty – *matrix*, jak go nazywali, macierz – poił co najmniej dziewięć miast położonych przy Zatoce Neapolitańskiej: najpierw Pompeje, do których prowadziła długa boczna odnoga, następnie zaś Nolę, Acerrae, Atellę, Neapol, Puteoli, Kume, Baje i na koniec Misenum.

I na tym właśnie polega problem, pomyślał inżynier. Za dużo od niej zależy. Rzym ma w końcu ponad pół tuzina akweduktów; jeżeli jeden z nich zawiedzie, niedobory uzupełnia inny. Ale tutaj nie ma żadnych rezerw, zwłaszcza w trakcie tej suszy, która trwa

już ponad dwa miesiące. Studnie, które od pokoleń zapewniały wodę, zmieniły się w wypełnione pyłem doły. Strumienie wyschły. Koryta rzek stały się traktami, którymi rolnicy gnają na targ swoje zwierzęta. Nawet Augusta zdradzała symptomy wyczerpania: poziom jej olbrzymiego zbiornika obniżał się z godziny na godzinę i to właśnie przywiodło go tu przed świtem, kiedy powinien jeszcze leżeć w łóżku.

Ze skórzanej sakiewki przy pasie wyciągnął mały klocek polerowanego cedru z wyżłobionym po jednej stronie zagłębieniem na podbródek. Słoje lśniącego drewna wygładzone zostały przez skórę jego przodków. Pradziad Atiliusza otrzymał podobno klocek w charakterze talizmanu od Witruwiusza, architekta boskiego Augusta*. Starzec utrzymywał, że żyje w tym kawałku drewna duch Neptuna, boga wody. Atiliusz nie miał czasu zajmować się bogami – młodzieńcami ze skrzydłami u stóp, pływającymi na delfinach kobietami i siwowłosymi starcami, którzy w porywach gniewu ciskali pioruny ze szczytów gór – to opowieści dla dzieci, nie dla mężczyzn. Zamiast tego wierzył w kamień, wodę i cud dnia powszedniego, który miał miejsce, gdy mieszało się dwie części lasowanego mułu z pięcioma częściami puteolanum – miejscowego czerwonego piasku – tworząc krzepnącą pod wodą substancję o konsystencji twardszej od skały.

Mimo to tylko głupiec mógł zaprzeczyć, że istnieje coś takiego jak szczęście, i jeśli miała mu je przynieść rodzinna pamiątka... Atiliusz przesunął palcem po skraju klocka. Gotów był spróbować wszystkiego.

Zostawił zwoje Witruwiusza w Rzymie. Nie miało to zresztą znaczenia. Ich treść wbijano mu do głowy od dzieciństwa, podczas

* Wielokrotnie wymieniany w tej książce „boski August” to Gajusz Juliusz Cezar Oktawian, adoptowany syn Juliusza Cezara i jego spadkobierca. Żył w latach 63 p.n.e.–14 n.e. Czas jego panowania to dla Rzymu okres spokoju wewnętrznego (zostały zakończone długotrwałe wojny domowe) i rozkwitu kultury i sztuki. August wprowadził szereg reform, uporządkował i zreorganizował administrację państwa, wydał też ustawy mające sprzyjać ochronie moralnej społeczeństwa.

gdy inni chłopcy czytali Wergiliusza. Potrafił recytować z pamięci całe ustępy.

Oto rośliny, które znalezione są oznakami wody: sitowie chude, dzika wierzba, olcha, werbena, bluszcz i inne rzeczy tego rodzaju, które nie mogą występować bez wilgoci...

– Koraksie, stań tam dalej – rozkazał. – Korwinusie, tam. Bekko, weź palik i oznacz miejsce, które ci wskażę. Wy dwaj: miejcie oczy szeroko otwarte.

Przechodząc, Koraks spojrzął na niego spode łba.

– Później – mruknął Atiliusz.

Nadzorca cuchnął nienawiścią prawie tak mocno jak winem, ale będą mieli dosyć czasu na rozstrzygnięcie sporu po powrocie do Misenum. Teraz muszą się pośpieszyć.

Z gwiazd opadała szara gaza. Księżyc zaszedł. Piętnaście mil dalej na wschód, w połowie linii brzegowej zatoki, wyłaniała się z mroku zalesiona piramida Wezuwiusza. Słońce miało wzejść właśnie zza niej.

Oto jak sprawdzić obecność wody: przed wschodem słońca położyć się na brzuchu w miejscu, w którym mają być prowadzone poszukiwania, i z podbródkiem opartym o ziemię lustrować teren. Dzięki temu linia widzenia nie podniesie się wyżej, niż powinna, ponieważ podbródek będzie nieruchomy...

Atiliusz ukląkł na spalonej trawie, pochylił się do przodu i ustawił klocek na linii wiodącej ku oddalonemu o pięćdziesiąt kroków narysowanemu kredą krzyżowi. Następnie oparł podbródek w zagłębieniu i rozpostarł ramiona. Ziemia była ciepła po wczorajszym dniu. Kiedy się położył, wionęło mu w twarz drobinami popiołu. Ani jednej kropli rosy. Siedemdziesiąt osiem dni bez deszczu. Świat się wypalał. Kątem oka zobaczył, że Koraks wykonuje obsceniczny gest, wysuwając do przodu krocze. „Nasz akwariusz nie ma żony, więc próbuje wyjechać zamiast tego Matkę Ziemię!” Nagle znajdujący się po jego prawej stronie Wezuwiusz pociemniał i strzeliło zza niego światło. Ciepły promień dotknął policzka Atiliusza. Zerkając na zbocze, musiał podnieść dłoń i

osłonić oczy przed blaskiem.

Trzeba kopać w tych miejscach, gdzie widać ulatniającą się i unoszącą w powietrzu wilgoć, ponieważ takie zjawisko nie może zajść w suchej okolicy...

„Zobaczysz to od razu – powtarzał mu ojciec – albo nie zobaczysz w ogóle”. Starał się lustrować teren szybko i metodycznie, obejmując wzrokiem kolejne jego wycinki. Wszystko jednak zlewało się ze sobą – spieczone połacie brązów i szarości oraz pasma czerwonej ziemi, nad którą zaczynało już drgać gorące powietrze. Obraz rozmazywał mu się przed oczyma. Uniósł się na łokciu, otarł oczy palcem wskazującym i ponownie oparł podbródek na klocku.

Tam!

Była cienka niczym rybacka żyłka i wcale nie „ulatniała się”, nie „unosila”, jak utrzymywał Witruwiusz, lecz smużyła przy samej ziemi, jakby haczyk wędki zaczepił się o kamień i ktoś go szarpał. Sunęła zygzakiem w jego stronę. A potem znikła.

– Tam, Bekko, tam! – wrzasnął, wskazując ręką, i sztukator rzucił się w tamtą stronę. – Cofnij się. Tak. Tam. Oznacz to miejsce.

Poderwał się na nogi i podbiegł do nich, strzepując z tuniki czerwony pył i czarny popiół, uśmiechając się i trzymając przed sobą magiczny cedrowy klocek. Wszyscy trzej stanęli dookoła. Bekko próbował wbić palik, który nie wchodził jednak wystarczająco głęboko w twarde gruntu.

Atiliusz triumfował.

– Widzieliście to? Musieliście to widzieć. Staliście bliżej ode mnie.

Gapili się na niego obojętnie.

– Wyglądało dziwnie, prawda? Unosiło się w ten sposób – mówił, przecinając powietrze poziomymi ruchami dłoni. – Niczym para idąca z kotła, którym ktoś potrząsnął.

Wpatrywał się w nich kolejno i uśmiech powoli gasł na jego wargach.

Koraks pokręcił głową.

– Oczy płatają ci figle, przystojniaku. Nie ma tutaj żadnego źródła. Mówiłem ci. Chodzę po tych wzgórzach od dwudziestu lat.

– A ja ci mówię, że widziałem.

– To był dym. – Koraks kopnął suchą ziemię, z której uniósł się obłoczek pyłu. – Korzenie mogą się tlić pod ziemią całymi dniami.

– Wiem, jak wygląda dym. I wiem, jak wygląda para. To była para.

Udają ślepych. Na pewno udają. Atiliusz ukląkł, poklepał suchą czerwoną ziemię, a potem zaczął kopać gołymi rękami; wsuwał palce pod kamyki i odrzucał je na bok, szarpał długą zwęgloną bulwę, która nie chciała ustąpić. Coś się stąd wydobyło. Był tego pewien. Jakim cudem bluszcz zdołał tak szybko odrosnąć, jeśli nie ma tu źródła?

– Przynieście narzędzia – rzucił, nie odwracając się.

– Akwariuszu...

– Przynieście narzędzia!



Kopali przez cały ranek, podczas gdy słońce wspinało się powoli nad błękitnym paleniskiem zatoki, przeistaczając się z żółtego dysku w białą gwiazdę. Ziemia skrzypiała i prężyła się w upale niczym cięciwa jednej z gigantycznych machin oblężniczych jego pradziada.

Raz przeszedł koło nich jakiś chłopiec, ciągnąc na kantarze wynędzniałego kozła, którego prowadził w stronę miasta. Był jedynym człowiekiem, jakiego zobaczyli. Misenum leżało schowane za skrajem urwiska. Co jakiś czas dobiegały stamtąd różne dźwięki – wykrzykiwane komendy w szkole wojskowej, stukot młotków, piłowanie drewna w stocznii.

Atiliusz, w nasuniętym na twarz starym słomkowym kapeluszu, harował najciężej ze wszystkich. Inni wymykali się co jakiś czas, żeby położyć się w skrawku cienia, który zdołali znaleźć, ale on nie przestawał machać kilofem. Trzonek był mokry od potu i ślizgał mu się w rękach. Na dłoniach wyskoczyły pęcherze. Tunika

przykleiła się do pleców niczym druga skóra. Nie zamierzał jednak okazywać słabości przy podwładnych. Nawet Koraks po jakimś czasie ucichł.

Dół, który w końcu wykopali, miał głębokość dwóch mężczyzn i był tak szeroki, że mogli w nim dwaj pracować. I owszem, znajdowało się tam źródło, tyle że umykało, kiedy tylko się do niego zbliżali. Kopali. Rdzawa ziemia na dnie dołu robiła się wilgotna. A potem szybko wysychała w promieniach słońca. Odkopywali kolejną warstwę i cały proces powtarzał się od nowa.

Dopiero o godzinie dziesiątej, gdy słońce minęło zenit, Atiliusz uznał się za pokonanego. Kiedy ostatnia plama wody wyparowała, wbił kilof w skraj dołu, podciągnął się do góry, zdjął kapelusz i zaczął wachlować nim płonące policzki. Koraks siedział na skale i obserwował go. Atiliusz po raz pierwszy spostrzegł, że nadzorca jest łysy.

– Zagotuje ci się mózg w tym upale – powiedział.

Odkorkował swój bukłak, wylał trochę wody na palce, skropił nią twarz i kark i wypił trochę. Woda była gorąca – miał wrażenie, że łyka krew.

– Urodziłem się tutaj. Upał mi nie przeszkadza. W Kampanii nazywamy to chłodem. – Koraks charknął i splunął, a potem wskazał kanciastym podbródkiem wykopany przez nich dół. – Co zrobimy z tą dziurą?

Atiliusz przyjrzał się otoczonej stertami ziemi, szpetnej wyrwie w zboczu. Pomnikowi własnej głupoty.

– Zostawimy ją tak, jak jest – odparł. – Przykryjemy tylko deskami. Kiedy spadnie deszcz, źródło tryśnie. Zobaczycie.

– Kiedy spadnie deszcz, nie będziemy potrzebowali źródła.

Atiliusz musiał przyznać mu rację.

– Moglibyśmy poprowadzić stąd rurę – powiedział w zadumie. Kiedy w grę wchodziła woda, stawał się romantykiem. Oczyma duszy widział już wiejską idyllę. – Moglibyśmy nawodnić całe zbocza. Można będzie tu zasadzić cytryny. Oliwki. Zbudować tarasy. Założyć winnice...

– Winnice! – Koraks pokręcił głową. – Więc teraz będziemy rolnikami! Posłuchaj mnie, młody ekspercie z Rzymu, coś ci powiem. Aqua Augusta nie zawiodła od ponad stulecia. I teraz też nas nie zawiedzie. Nawet kiedy ty ją nadzorujesz.

– Miejmy taką nadzieję. – Inżynier wypił resztkę wody. Czuł, że oblewa się rumieńcem wstydu, na szczęście upał skrył jego upokorzenie. Włożył na głowę kapelusz i osłonił rondem twarz. – Dobrze, Koraksie. Zbierz ludzi. Na dzisiaj tu skończyliśmy.

Wziął narzędzia i nie czekając na innych, ruszył na dół. Sami potrafią znaleźć drogę powrotną.

Musiał uważać, gdzie stawia stopy. Przy każdym kroku jaszczurki umykały przed nim w suche zarośla. Ta okolica bardziej przypominała mu Afrykę niż Italię. Kiedy dotarł do nadmorskiej drogi, wyłoniło się przed nim Misenum, falujące w gorącej mgiełce niczym oaza, pulsujące – tak mu się w każdym razie wydawało – przy wtórce cykad.

Siedziba zachodniej floty cesarstwa była triumfem Człowieka nad Naturą, ponieważ żadne miasto nie miało prawa istnieć w tym miejscu. Nie płynęła tędy rzeka, niewiele było studni i źródeł. Mimo to boski August uznał, że Cesarstwo potrzebuje portu, z którego mogłoby kontrolować Morze Śródziemne, i oto port powstał. Ucieleśnienie rzymskiej potęgi: roziskrzony, srebrne dyski wewnętrznych i zewnętrznych basenów, lśniące w popołudniowym słońcu złote dzioby i wiszące nad wodą rufy pięćdziesięciu wojennych okrętów, zakurzony plac apelowy szkoły wojskowej, wystające ponad lasem masztów czerwone dachówki i bielone ściany cywilnego miasta.

Dziesięć tysięcy marynarzy i kolejne dziesięć tysięcy obywateli stłoczonych było na wąskim pasie ziemi, pozbawionym własnych źródeł wody pitnej. Misenum istniało wyłącznie dzięki akweduktowi.

Atiliusz pomyślał o dziwnie smużającej się nitce pary i o tym, jak źródło zniknęło w skale. Cóż to za dziwny kraj. Spojrzał z posępną miną na pęcherze na dłoniach.

Czysta głupota...

Pokręcił głową i mrugając szybko, żeby strząsnąć pot z powiek, ruszył ciężkim krokiem w stronę miasta.

HORA UNDECIMA

(godzina 17.42)

Pytaniem o znaczeniu praktycznym jest, ile czasu upływa między iniekcją świeżej magmy i następującą w wyniku tego erupcją. W wielu wulkanach okres ten może być mierzony w tygodniach lub miesiącach, w innych wydaje się znacznie krótszy i trwa być może kilka dni albo godzin.

Volcanology (drugie wydanie)

WVilla Hortensia, wielkiej nadmorskiej rezydencji na północnych obrzeżach Misenum, trwały przygotowania do uśmiercenia niewolnika. Miano nim nakarmić mureny.

Nie było to czymś niespotykanym w tej części Italii, gdzie tyle wielkich posiadłości wokół Zatoki Neapolitańskiej miało własne hodowle ryb. Nowy właściciel Villa Hortensia, milioner Numeriusz Popidiusz Ampliatus, słyszał o tym zwyczaju, będąc chłopcem. Żyjący w czasach Augusta arystokrata, Wediusz Pollio, wrzucał ponoć do sadzawki z murenami tłukących talerze niezdarnych służących. Ampliatus często wspominał z uznaniem tę historię, stanowiła bowiem doskonałą ilustrację tego, co to znaczy mieć władzę. Władzę, wyobraźnię, inteligencję i styl.

Dlatego, gdy po wielu latach wszedł w posiadanie hodowli ryb – oddalonej zaledwie kilka mil od starego domu Wediusza Pollio na przylądku Pausilypon – i jeden z jego niewolników również zniszczył rzecz bezcennej wartości, natychmiast sobie o tym

przypomniął. Ampliatus sam urodził się jako niewolnik i uważał, że tak właśnie powinien się zachowywać arystokrata.

Mężczyźnie zostawiono tylko opaskę na biodrach, związane z tyłu ręce i zaprowadzono na skraj morza. Nacięto mu nożem obie łydki, żeby spuścić trochę krwi, i natarto octem, który, jak powiadano, doprowadza mureny do szaleństwa.

Było bardzo gorące późne popołudnie.

Mureny miały własny basen, wybudowany w znacznej odległości od pozostałych sadzawek, aby izolować je od innych ryb. Prowadził do niego wąski betonowy pomost, wiodący dalej w głąb zatoki. Słynące z agresywności ryby, wielkie niczym dorosły człowiek i osiągające grubość ludzkiego tułowia, miały płaskie głowy, szerokie pyski i ostre jak brzytwy zęby. Przylegająca do willi hodowla ryb miała sto pięćdziesiąt lat i nikt nie wiedział, ile muren kryje się w labiryncie tuneli i mrocznych zakamarkach na dnie basenu. Na pewno mnóstwo, być może nawet setki. Najstarsze były prawdziwymi monstrami, kilka ozdobiono klejnotami. Jedną z nich, ze złotym kolczykiem w płetwie piersiowej, upodobał sobie podobno Neron.

Mureny budziły w niewolniku szczególną grozę, ponieważ – ten zbieg okoliczności szczególnie podobał się Ampliatusowi – to on właśnie od dawna je karmił. Wrzeszczał i szarpał się, zanim jeszcze wprowadzono go siłą na pomost. Widział mureny każdego ranka, kiedy rzucał im rybie głowy i kurczące wnętrzności, obserwował, jak powierzchnia wody migoce, a potem burzy się, gdy ryby wyczuwały zapach krwi, wypadały ze swoich kryjówek i walcząc o jedzenie, rozszarpywały je na strzępy.

O godzinie jedenastej, mimo zapierającego dech skwaru, Ampliatus wyszedł osobiście z willi, żeby popatrzeć. Towarzyszył mu jego kilkunastoletni syn, Celsinus, a także zarządca domu, Skutariusz, kilku klientów (którzy przybyli z nim z Pompejów i dotychczas się nie pożegnali w nadziei na darmowy obiad) oraz około stu niewolników, którym widowisko powinno dać jego zdaniem do myślenia. Żonie i córce nakazał pozostać w domu;

tego rodzaju widok nie był odpowiedni dla kobiet. Ustawiono wielki fotel dla niego oraz kilka mniejszych dla gości. Ampliatus nie znał nawet imienia niewolnika. Dostał go razem ze stawami, kiedy kupił w tym roku willę za okrągłe dziesięć milionów.

Wszystkie ryby hodowane były za niemałe pieniądze w basenach przy brzegu morza – morski okoń o wełnistobiałym mięsie, cefal, który potrzebował wysokich ścian wokół sadzawki, żeby nie wyskoczyć na wolność, płastuga, papugoryba i leszcz złotogłowy, minogi, kongery i molwy.

Zdecydowanie najdroższe ze wszystkich morskich skarbów Ampliatusa – drżał na samą myśl, ile za nie zapłacił, chociaż w gruncie rzeczy nie przepadał za rybami – były jednak barweny, delikatne, wąsate rybki, wyjątkowo trudne w hodowli, występujące w barwach od jasnorożowej do pomarańczowej. Te właśnie ryby uśmiercił niewolnik, złośliwie czy przez zaniedbanie, Ampliatus tego nie wiedział i o to nie dbał. Teraz pływały brzuchami do góry, po śmierci tak samo jak za życia zbite w ławicę – wielobarwny dywan, który unosił się na powierzchni sadzawki i który odkryto wcześniej po południu. Kiedy mu je pokazano, kilka jeszcze żyło, ale zdechły na jego oczach, obracając się niczym liście i wypływając, aby dołączyć do reszty. Zatrute, co do jednej. Przy obecnych cenach rynkowych mógł na nich zarobić po sześć tysięcy za sztukę, bo jedna barwena warta była pięć razy więcej niż nieszczęsny niewolnik, który miał się nimi opiekować. Teraz można je było tylko spalić. Ampliatus natychmiast wydał wyrok:

– Rzućcie go murenom!

Wleczony i popychany w stronę basenu niewolnik nie przestawał wrzeszczeć. To nie jego wina, krzyczał. To nie pokarm. To woda. Powinni sprowadzić akwariusza.

Akwariusza!

Ampliatus zmrużył oczy przed blaskiem bijącym z morza. Trudno było odróżnić od siebie sylwetki szarpiącego się niewolnika, dwóch innych, którzy go trzymali, oraz trzeciego, niosącego bosak podobny do lancy i dżgającego nim nieszczęśnika w plecy. W

mgiełce unoszącej się nad roziskrzonymi falami wszyscy wydawali się ludzikami z obrazka. Podniósł rękę, zaciskając na wzór cesarza pięść i trzymając kciuk równoległe do ziemi. Czuł, że ma władzę równą bogom, a mimo to przepełniała go zwykła ludzka ciekawość. Przez moment zwlekał, delektując się tym doznaniem, a potem przekreślił nadgarstek, kierując kciuk w dół. Niech ma za swoje!



Rozdzierające wrzaski szamoczącego się przy skraju basenu niewolnika niosły się ponad tarasami i pływalnią, docierając do pogrążonego w ciszy domu, gdzie kryły się kobiety.

Korelia Ampliata wbiegła do swojej sypialni, rzuciła się na materac i naciągnęła poduszkę na głowę, nie sposób było jednak uciec przed tym krzykiem. W przeciwieństwie do swojego ojca знаła imię niewolnika – nazywał się Hiponaks i był Grekiem – a także imię jego matki, Atii, która pracowała w kuchni i której lamenty były jeszcze straszniejsze od krzyków syna. Nie mogąc dłużej tego znieść, zerwała się z materaca i pobiegła przez opustoszałą willę na poszukiwanie zawodzącej kobiety, która leżała przy kolumnie w otoczonym krążankiem ogrodzie.

Widząc Korelię, Atia złapała swoją młodą panią za skraj sukni i zaczęła wylewać łzy na jej obute w pantofle stopy, powtarzając raz po raz, że jej syn jest niewinny, że kiedy go zabierali, krzyczał do niej, że to woda, to woda, coś złego stało się z wodą. Dlaczego nikt go nie słucha?

Korelia gładziła Atię po siwych włosach, starając się ją w miarę swoich możliwości pocieszyć. Niewiele więcej była w stanie zrobić. Wiedziała, że nie ma sensu błagać ojca o litość. Nie słuchał nikogo, a już na pewno nie kobiet, spośród których najmniej liczył się ze zdaniem własnej córki. Wymagał od niej bezwarunkowego posłuszeństwa – jej interwencja utwierdziłaby go tylko w zamiarze uśmiercenia niewolnika. Na błagania Atii mogła odpowiedzieć jedynie, że nic nie da się zrobić.

W tym momencie staruszka – tak naprawdę miała czterdzieści

kilka lat, lecz dla Korelii wiek niewolników liczył się podobnie jak wiek psów, a Atia wyglądała co najmniej na sześćdziesiąt – gwałtownie się od niej odsunęła i otarła łzy ramieniem.

– Ktoś musi mi pomóc – oznajmiła.

– Atio, Atio – powiedziała łagodnie Korelia – któż ci pomoże?

– Wołał, żeby wezwali akwariusza. Nie słyszałaś? Muszę go sprowadzić.

– A gdzie on jest?

– Powinien być przy akwedukcie na dole, tam gdzie pracują robotnicy wodni.

Atia zerwała się na nogi i potoczyła dookoła dzikim wzrokiem. Drżąca, lecz zdeterminowana, miała zaczerwienione oczy, potargane włosy i ubranie w nieładzie. Wyglądała jak obłąkana i Korelia natychmiast zdała sobie sprawę, że nikt jej nie wysłucha. Będą się z niej śmiali albo przegnają kamieniami.

– Pójdę z tobą – powiedziała.

Od nabrzeża dobiegł kolejny straszny krzyk. Dziewczyna zebrała jedną dłonią suknie, drugą złapała starą za rękę i popędziła z nią przez ogród. Minęły pusty taboret odźwiernego i wyszły bocznymi drzwiami na zalaną słońcem drogę.



Położona kilkaset kroków na południe od willi Ampliatusa stacja końcowa Augusty była wykutym w zboczu naprzeciwko portu wielkim, podziemnym zbiornikiem, określanym, odkąd ludzie sięgali pamięcią, mianem Piscina Mirabilis – Basen Cudów.

Widziana z zewnątrz, nie przyciągała wzroku niczym szczególnym i wielu obywateli Misenum mijało ją zupełnie obojętnie. Na powierzchni widać było tylko schowany przy zakurzonej bocznej uliczce, przykryty płaskim dachem, niski budynek z czerwonej cegły, długi na całą przecnicę i na pół przecznicy szeroki, obrośnięty jasnozielonym bluszczem i otoczony warsztatami, magazynami oraz pomieszczeniami mieszkalnymi.

Tylko w nocy, kiedy cichł uliczny gwar i wrzaski przekupniów,

można było usłyszeć niski podziemny łoskot spadającej wody, i tylko kiedy weszło się na wewnętrzny dziedziniec, otworzyło wąskie drewniane drzwi i zeszło kilka kroków do samego zbiornika, można było podziwiać Piscina Mirabilis w całej okazałości. Jej sklepienie wspierało się na wysokich na ponad pięćdziesiąt stóp czterdziestu ośmiu kolumnach, w przeważającej części schowanych pod wodą, której huk, gdy wpadała do zbiornika, przenikał słuchacza do szpiku kości.

Inżynier mógł stać tutaj godzinami, zaśluchany i zatopiony w myślach. Bębny Augusty nie rozbrzmiewały w jego uszach monotonnym jednostajnym grzmiotem, lecz wydawały się melodią gigantycznych wodnych organów, muzyką cywilizacji. W dachu Piscina Mirabilis osadzone były świetliki i po południu wodny pył unosił się w snopach słonecznego światła, a między kolumnami tańczyły tęcze, wieczorem zaś, kiedy zamykano zbiornik na noc, płomień pochodni odbijał się od gładkiej, czarnej tafli niczym ciśnięte na heban złoto. W takich chwilach Atiliusz miał wrażenie, że nie znajduje się w zbiorniku, lecz w świątyni poświęconej jedyńemu bogu, w którego warto wierzyć.

Kiedy późnym popołudniem wrócił z gór i wszedł na dziedziniec, myślał tylko o tym, że powinien sprawdzić poziom wody. Stało się to jego obsesją. Okazało się jednak, że drzwi są zamknięte, i przypomniał sobie, że klucz do nich nosi przy pasie Koraks. Był tak zmęczony, że ten jedyny raz dał sobie z tym spokój. Słyszał dobiegający z oddali łoskot Augusty – woda płynęła i to było najważniejsze. Kiedy później analizował swoje działania, uznał, że nie może sobie niczego zarzucić. I tak nie zdołałby nic zrobić. Jego osobista sytuacja wyglądałaby co prawda inaczej, jednak na tle powstałego kryzysu nie miało to większego znaczenia.

Odwrócił się od drzwi i zmierzył wzrokiem opustoszały dziedziniec. Poprzedniego wieczoru rozkazał, aby podczas jego nieobecności dokładnie go wysprzątało, i z zadowoleniem stwierdził, że polecenie zostało wykonane. Było coś krzepiącego w widoku tak uporządkowanej przestrzeni. Poukładane jeden na

drugim arkusze ołowiu, amfory z wapnem, worki z puteolanum, czerwone gliniane rury – to widok, który dobrze zapamiętał z dzieciństwa. A także zapachy: ostry odór wapna i przykurzoną woń wypalanej gliny, grzejącej się przez cały dzień na słońcu.

Wszedł do magazynu, rzucił narzędzia na gliniane klepisko, poruszył obolałym ramieniem, a potem otarł twarz rękawem tuniki i wrócił na dziedziniec. W tym samym momencie pojawiła się na nim jego brygada. Podeszli od razu do fontanny, całkowicie go ignorując, i po kolei gasili pragnienie, spryskując wodą głowy i ciała – najpierw Koraks, potem Musa i na koniec Bekko. Dwaj niewolnicy przykucnęli cierpliwie w cieniu i czekali. Atiliusz zdawał sobie sprawę, że tego dnia stracił przed nimi twarz. Mimo to nie przejmował się ich wrogim nastawieniem. W przeszłości nie przejmował się gorszymi rzeczami.

Krzyknął do Koraksa, że praca na dzisiaj jest skończona, doczekał się w odpowiedzi drwiącego skinięcia głową i wszedł po wąskich drewnianych schodkach do swojego mieszkania.

Dziedziniec był czworokątny. Od północy zamykała go ściana Piscina Mirabilis. Po zachodniej i południowej stronie mieściły się magazyny i biura akweduktu, po wschodniej zaś pomieszczenia mieszkalne: kwatery niewolników na parterze i apartament akwariusza na piętrze. Koraks i inni wolni ludzie mieszkali w mieście wraz ze swoimi rodzinami.

Atiliusz, który zostawił matkę i siostrę w Rzymie, miał nadzieję, że po jakimś czasie sprowadzi je do Misenum i wynajmie dom, który będzie mogła prowadzić dla niego matka. Na razie jednak zajmował ciasną kwaterę swojego poprzednika, Eksomniusza, którego kilka osobistych rzeczy przeniósł do wolnej małej klitki przy końcu korytarza.

Co się stało z Eksomniuszem? To było oczywiście pierwsze pytanie, które zadał, zainicjując do portu. Nikt jednak nie znał na nie odpowiedzi, a jeśli znał, nie miał ochoty jej udzielić. Reakcją było posępne milczenie. Wyglądało na to, że stary Eksomniusz, Sycylijczyk, który nadzorował Augustę prawie od dwudziestu lat,

wyszedł przed ponad dwoma tygodniami z domu i wszelki śluch o nim zaginął.

W normalnych okolicznościach *Curator Aquarum*, który zarządzał akweduktami pierwszej i drugiej prowincji (czyli Lacjum i Kampanii), powinien odczekać jakiś czas. Jednak ze względu na panującą suszę, znaczenie Augusty oraz fakt, że w trzecim tygodniu lipca senat zawiesił na okres letni działalność i połowa jego członków odpoczywała w swoich willach wokół zatoki, uznano, że roztropnie będzie natychmiast wyznaczyć następcę. Atiliusz otrzymał wezwanie w idy sierpniowe o zmierzchu, w chwili kiedy kończył prace konserwacyjne przy Anio Novus. Zaprowadzony do mieszczącej się na Palatynie oficjalnej rezydencji samego *Curatora Aquarum*, Aciliusza Awioli, otrzymał od niego nominację. Atiliusz jest bystry, energiczny i oddany – senator wiedział, jak kogoś ująć, kiedy czegoś potrzebował – a poza tym nie ma żony ani dzieci, które zatrzymałyby go w Rzymie. Czy może wyruszyć nazajutrz? Atiliusz nie wahał się oczywiście ani chwili, ponieważ otwierała się przed nim wielka zawodowa szansa. Pożegnał się z rodziną i wsiadł na pokład promu wypływającego codziennie z Ostii.

Jakiś czas temu zaczął pisać do rodziny. Niedokończony list leżał na szafce przy twardym drewnianym łóżku. Pisanie listów nie szło Atiliuszowi najlepiej. Stać go było co najwyżej na skreślenie szkolnym charakterem pisma kilku rutynowych informacji: *Przybyłem na miejsce, podróż była udana, pogoda jest upalna*. Nie dawało to w najmniejszym stopniu pojęcia, w jak trudnym znalazł się położeniu, izolowany, nękaný poczuciem spoczywającej na nim odpowiedzialności i obawą, że zabraknie wody. Cóż jednak matka i siostra mogły wiedzieć? A poza tym nauczono go żyć tak, jak nakazywali stoicy – nie tracić czasu na fanaberie, wykonywać bez słowa skargi to, co do niego należy, zachowywać się zawsze tak samo bez względu na okoliczności – intensywny ból, utratę bliskiej osoby, chorobę – i zadowalać się obozowym posiłkiem i prostym płaszczem.

Usiadł na skraju materaca. Jego domowy niewolnik, Phylo,

zostawił mu dzban wody i miednicę, a także trochę owoców, chleb, karafkę wina i gomułkę twardego białego sera. Inżynier umył się starannie, zjadł wszystko, zmieszał trochę wina z wodą i wypił. A potem, zbyt wyczerpany, żeby zdjąć tunikę i buty, położył się na łóżku, zamknął oczy i od razu znalazł się w krainie między snem i jawą, po której błąkała się bez końca jego żona. Usłyszał jej głos, błagalny i naglący:

– Akwariuszu! Akwariuszu!

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).